

Andrzej Kijowski

Z notesu konwojenta

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6, 189-195

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Andrzej Kijowski

Z notesu konwojenta* (1971)

4 lipca

Niedziela, 7.45, pochmurno. Nowy plan działania. Przeczytać wszystko raz jeszcze. Nic nie pamiętam.

530 — Co duchem czasu zwiecie... jest własnym duchem waszym, w którym to duchu czasy się zwierciadlą...

591 — Czegoż wy wszyscy poznaniem nie zwiecie...

922 — Odwróć się, nie patrz ku szczytom wysokim, a wstecz za siebie, na miasto rzuć okiem...

1179 — bo ta kreatura

to nie duch żaden, wszystko to tresura...

6 lipca

Brak ciągłości i związku. Każdy wymądrza się na własną rękę bez szacunku i uwagi dla drugiego, który robi to samo. Nikt nie wierzy w to, że zbiorowym wysiłkiem można coś rzeczywiście ustalić. Gdy komu racji odmówić, obraża się milczkiem i podejrzewa o coś znacznie gorszego niż niezgoda. Przykład moich felietonów w „Twórczości”, w których na próżno usiłowałem zaczepiać po kolei różnych autorów Brylla, Różewicza, Dobrowolskiego, jakichś publicystów i krytyków... Doczekałem się jedynie tego, że Bryll parę zdań z mojego artykułu o nim, włożył przekręcone i skarykaturowane w usta

* Introdruk. Notes konwojenta. Oprawa plastikowa, papier kl. III 709/m², kratka 5 mm, 98 kartek... Spółdz. Pracy Warszawa, E. Orzeszkowej 14.

jednej z postaci swojej kolejnej farsy, a redaktor jednego z pism poskarżył się przed władzami za ataki na jego „organ”. Tam zastanawiano się podobnie, czy jest to „tylko polemika”.

Dopiero dziś widzę, że to nie jest komunał.

Tegoż dnia

Mam 43 lata, jestem zdrow na ciele i umyśle, nigdy już zdrowszy nie będę, ani młodszy, ani pełniejszy sił i energii, ani też nigdy nie osiągnę pełniejszej równowagi biologicznej i umysłowej. Mam dobrą sytuację w świecie, w którym żyję, tzn. jestem uznany, a jednocześnie wciąż jeszcze dostaję kredyt na przyszłość — nigdy moja sytuacja nie będzie lepsza. Mam dobre warunki — mieszkanie, pieniądze — a w każdym razie nigdy nie będę miał lepszych. Korzystne są okoliczności polityczne, ponieważ nie grożą kataklizmem, ani też nie zmuszają do niemilej mi czy uciążliwej działalności. Nigdy za mojego życia nie będzie lepiej. Jeśli chcę coś zrobić, to tylko teraz. Żadne okoliczności łagodzące nie będą brane pod uwagę.

12 lipca

Dlaczego tak się męczę pracą, dlaczego jej tak unikam? Ilekroć robię coś poniżej własnych wymagań, powołuję innych na świadków: mam prawo, należy mi się, mogę sobie pozwolić, wszyscy tak robią itd. Wszelkie odstępstwo od normy etycznej jest ustępstwem na rzecz normy przeciętnej; pogwałcona etyka szuka alibi w obyczaju.

13 lipca

Czytanie „Prometeusza” Andrzejewskiego. Co właściwie znaczy rozbieranie Prometeusza? Kim są bogowie, jeżeli skazawszy na rozebranie jednego spośród siebie, odnajdują w nim zwykłego człowieka?

Boskość = superwiedza, wiedza sięgająca ponad przeciwieństwa. To dobre.

Rozmowa Hermesa z Herą; bogowie boją się, że człowiek im wydrze władzę. Och, czy rzeczywiście? Człowiek stwarza zarówno bogów jak tyranów, a bunty jego przeciw nim są dosyć dwuznaczne. Zwalając jednych, kreuje następnych i wszystko wskazuje na to, że bez ucisku obejść się nie może. Jego walka o wolność ogranicza się do przejściowego sprzyjania nowym pretendantom, których ma za zwolnicieli.

Ça alors! Bogini, która swojemu własnemu synowi zwierza tę tajem-

nicę, że oboje są snem ludzi? Więc po cóż ich A. dalej śni? Śnić sny krytyczne? Sny, które się same analizują?

Wszystko to jest jakby konfrontacja dwóch różnych superświadomości. Superświadomość Zeusa jest teologiczna, superświadomość Prometeusza humanistyczna. Walczące tedy ze sobą dwa stereotypy, a obydwa należą do szkolnej wiedzy.

14 lipca

Co jest śmieszne?

Co jest przełamaniem konwencji. Społeczeństwo musi być bardzo mocno przekonane, że coś musi odbywać się w pewien określony sposób, aby zaskoczyło je i wtrąciło w konwulsje nieoczekiwane...

15 lipca

Nie wszystko, co nie jest poważne, jest śmieszne; śmiech nie jest brakiem powagi, ale ciosem w powagę wymierzonym, jest antypowagą. Więc powaga jest warunkiem śmiechu.

27 lipca

Strach.

Strach — lenistwo.

Strach — przed tym jak się zachowam i jak wykonam...

Strach — zależność od innych ludzi.

Strach — pragnienie sprostania.

Strach — nieautentyczność.

Strach — gdy tracę właściwą mi miarę, miarę która mnie wewnętrznie obowiązuje.

1 sierpnia

Bajeczka o strasznym zbójcy, którego wszyscy tak się bali, że przestali w ogóle zapuszczać się w okolice, gdzie on grasował. Pokolenie za pokoleniem wzrastało w przekonaniu, że te okolice w ogóle nie istnieją; tuż pod bokiem stolicy powstała terra incognita, biała plama, na żadnej nie oznaczana mapie, w żadnym nie opisana podręczniku.

Aż raz — dziecko spuszczone nieopatrznie z oka (niesforne dziecko, znane z wielu wybryków, z tego między innymi, że powiedziało kiedyś królowi, iż jest nagi) powędrowało sobie w zakazaną okolicę ciekawe jak też wygląda straszny zbójca i jego banda. Idzie, idzie... Wtem widzi żebraka... Ten lamentuje i powiada swoją historię: tak, tak, były to smutne resztki strasznego zbójca, którego imieniem straszono dzieci. Nikomu nie przyszło do głowy, jak bardzo musiał zdzia-

dzieć, skoro nikt nie zapuszczał się w jego stronę, aby się dać ogra-
bić.

8 sierpnia, Kąty Rybackie

Na dnie, i może właśnie na dnie...

*Czyt. Sartre'a „Co to jest literatura?”. Napisać podobną historię pi-
sarza w społeczeństwie polskim. Odpowiedzieć na pytanie dla kogo
pisze się dziś, tu, u nas. Po co pisze się dziś, tu, u nas, Kto pisze etc.
Le malade pour s'évader a besoin de la clé de l'asile arrive à croire
qu'il est lui-meme cette clé.*

*Według Sartre'a jest to pacjent wyleczony. Mnie się zdaje, że to
schizofrenik, dla którego już nie ma nadziei.*

*Dla Sartre'a istnieją dwie realności: człowiek i klasa. Fantasmagorie
kultury powstają w dialektycznych związkach, jakie między tymi
dwoma realnościami się tworzą. Toteż jego zainteresowanie kultu-
rą jest obciążone niewiarą. Bada ją jak lekarz-psychiatra zapiski
czy malowidła swoich pacjentów: z uśmiechem niedowierzania, wie-
dząc, że aby faceta uzdrowić trzeba i tak, pomimo jego talentów,
zaaplikować mu zastrzyk lub wstrząs elektryczny. Sartre też wie,
że człowieka może zmienić (uzdrowić) tylko rewolucja klasowa. Skąd
wie? Ponieważ realne zmiany mogą następować tylko między real-
nościami, w egzystencji, nie w esencji. Kultura wg Sartre'a jest
esencją.*

* * *

*Sny: ptaki, które przemieniały się w drzewa,
ale z tkanin, a te znów rozdzierały się w strzępy, w łachmany, w
kłębowiska węzów, glist... Ani chwili odpoczynku, ani miejsca pu-
stego w nieustannym przepływanu i przetwarzaniu się form, którym
towarzyszyła moja radość szalona, jak muzyka, i rytm, w którym
widzenie moje próbowałem od razu opowiadać. I wyłoniła się z tego
przepychu form postać mojej ukochanej: zbytkowna, delikatna, z a-
j ę t a, tzn. nie zwracająca na mnie uwagi, cierpiąca, ale poddająca
się w swoim cierpieniu mojej dobroci i gotowości, godząca się na
to, aby mnie właśnie powierzyć się i z miłym zdumieniem docenia-
jąca moje oddanie. Połączyliśmy się w tajemnicy, w zмовie prze-
ciwko naszym o s o b n y m z o b o w i ą z a n i o m. Weszliśmy do
luksusowego lokalu, na który mnie nie było stać — a ona o tym
wiedziała, lecz przez delikatność i z wielkiego zmęczenia nie opono-
wała. Służba kłaniała się nam, co ona przyjmowała naturalnie, a ja*

z doskonale udaną obojętnością, choć wiedziałem, że będzie to mój jednorazowy występ i że całe moje szczęście na tym się skończy. I tylko rytm w i e r s z o w a n e j opowieści — już dla kogoś, już dla świadków przeznaczonej, już gotowej dla publiczności — stukał we mnie, jak podniecone serce. Opowiadałem o jej objawieniu się, o jej przyjsciu oczekiwanym od tyłu, tyłu lat, i w opowieści zdobyłem ją w szych, w cynfolię, w bibułkowe kwiaty, w tandetę, odziewałem ją w przepych biedaka — w ptaki i wstęgi dopiero co wyjaśnione — i nadałem jej imię: o, panno Marago.

Potem pokazał mi się Mrożek w stroju jak gdyby ruskiego popa. Szliśmy gromadą, w jego asyście (tzn. myśmy mu asystowali, ja i inni), a wśród nas był jakiś biedaczyna, zawistny poeta, jak gdyby Andrzej Sz. — milczący i przebrany jak Mrożek w złotą kapę. Mrożek odpędził go. Ten krzyczał zdaje się bronił się. — Nie rób mu tego, nie rób, Sławek — błagałem Mrożka w obronie wariata — biedaczyny. I K. go broniła, która zjawiała się nie wiedzieć skąd — jako sprawiedliwość, prawość skromna, a na miejscu. Sny przygasty, płowiały.

Jeszcze przyśnił mi się nasz nowy dom, który urządzaliśmy razem z Kazią: nowoczesne mieszkanie na 10 piętrze z balkonem, który przechylał się, gdy było nań wstąpić. Aby spróbować, powiedziałem Kazi: włóż na siebie co masz najpiękniejszego — tę złotą suknię i szal — i weź do ręki najcięższy z naszych talerzy, i wejdź na balkon. I weszła Kazia na balkon, jak Salome, tanecznym krokiem, i balkon przechylił się (a to mi się śniło w biblijnych zdaniach). Przechylił się jak kładka. Ja zaś z jakimiś panami, z jakimiś inżynierami delibero wałem na temat mosiężnych balustrad i specjalnych granitowych wsporników, którymi trzeba ten balkon umocować, zabezpieczyć.

I jeszcze, jeszcze — jakieś wybrzeże morskie na południu, gdzie szukam ukrytego w skałach miasteczka, w którym niegdyś byłem szczęśliwy. Upał, kamienie, cisza południa, ale wszystko zdawało się dziać u zejścia na Mariensztat.

Przed snem wypilem filiżankę kawy marago. Zasnąłem łatwo, a potem budziłem się co chwile, szczęśliwy i podniecony snami, a wystraszony biciem serca, o którym wiedziałem, że we śnie przemienia się w rytm wiersza, w rytm opowieści. Budząc się, myślałem tylko o tym, aby sny wznowić i powtarzałem do siebie półgłosem słowa usłyszane w nich, czy zobaczone. Nawet na dwór wyszedłem

i sikając pod jabłonką, z zamkniętymi oczami mówiłem coś do „panny Marago”, a zasypiając pragnąłem tylko jeszcze więcej kolorów, ale w tym samym tonie. — Jeszcze tylko porfir, porfir — mruzczałem — porfir z San Vital i złoto św. Marka — kolory kawy marago i jej blaszanego opakowania.

Była w tym też radość odkrycia narkotyku i nadzieja na przyszłość: to da się powtórzyć.

15 sierpnia

Umarł Paweł Beylin.

17 sierpnia

Czy świat jest jednomyślny?

Czy jest bezmyślny?

Nigdy nie jest bezmyślny. Czasem tylko tak się zdarza, że myśl najistotniejsza chodzi bokami i po kątach się kryje.

Tu, w tych Kątach Rybackich zdaje mi się, że jestem na końcu świata, czy też właśnie w jego najbardziej zapadłym kącie. Spójrzmy tylko dokoła: Bałtyk, zalew, szuwary, piasek, komary... Ale co to? Tam, na brzegu przeciwnym, nad zalewem, jakiś kształt... wieża czy też palec Boży? To Frombork, wieża Kopernika. Duch polata kędy chce i użyźnia myślą nawet najbardziej jałowe okolice. Wszak od Fromborskiej wieży niedaleko w prostej linii do Królewca, gdzie Bałtyk taki sam bury, zalew tak samo cuchnie mulem i rybą, i komary tną tak samo. Gdyby na świecie zapanowała błogosławiona synchronia, Kant z Kopernikiem mogliby się razem wybrać na ryby np. do Piasków. I patrząc w splawiki ucieliby sobie pogwarke o sennym tutejszym powietrzu, w którym żadna poważniejsza myśl nie może się zrodzić.

21 sierpnia, Kąty.

Ostatkiem się tu wytrzymuje. Jestem cały oblepiony brudem i piaskiem, plaża męczy mnie i drażni, a w budzie mojej wprost wysiedzieć nie mogę. Duszno w niej, kiedy ściany się rozgrzewają, pod nogami trzeszczy piasek, w zębach trzeszczy piasek, w powietrzu roje os i much — wieczorem zmieniają je hordy komarów. Siatkę w łóżku mam zerwaną, także leżąc wpadam w dziurę, z której wygrzebać się potem trudno, pełno w łóżku piasku, a na pościeli ślady psich łap, bo któż psu zabroni spać na moim łóżku, kiedy wychodzę? J. męczy mnie intelektualnym gadulstwem. Naśladuje mnie i próbuje wciąż w czymś prześcignąć. Czuję pierwsze objawy starczego zmę-

czenia, gdy słuchając go, myślę sobie: a, pies cię... szybciej pływasz, szybciej chodzisz, więcej czytasz, lepiej mówisz, zdolniejszy jesteś... To całe pisanie... Piszę pod siebie. Wszystko zanadto impresyjne, zanadto na wyczucie.

29 sierpnia, Kąty.

Eklezjasta: co za pesymizm! I to ma być „Pismo Święte”?

30 września, Warszawa.

Samookreślenia:

mój dom był domem dziadka bogatego, wszystko u nas pochodziło od dziadka bogatego, ojciec był intruzem, przybłądą.

Dom ojca mojego na przedmieściu. Ojciec prowadził mnie tam jak gdyby w tajemnicy. Czulem się związany z nim i z jego domem. Nasz sekret: błotnista uliczka, koszarowy budynek dawnej szkoły. Wspomnienie o dziadku biednym: ironiczne jego, ukośne spojrzenie. Śmierć jego: krążymy z bratem wokół szkoły, której okna na pierwszym piętrze zasłonięte jasnymi storami. Ciemna czerwona cegła, stary koloru piasku, rozgrzane w słońcu parkany. Wyraz twarzy matki mojej: robi co do niej należy, aby wykazać wyższość swoją i swojej rodziny. Upokorzenie ojca. Nienawiść do rodziny matki. Dlaczego ojciec się nie buntuje? Dlaczego jego rodzina, jego dom, nie mają dość siły i uroku, aby mnie przeciągnąć na swoją stronę?

Z tego konfliktu powstała ta pustka, w której poczuciu rosnę. Był to konflikt złego z gorszym, dwóch nicości o różnych stopniach natężenia. Moją nienawiść rozbrajał brak miłości. Pustka — i zawsze ta świadomość, że muszę zaczynać od zera, i że tylko ja mogę mieć rację.